

Mimo wszystko

Rozmowa z Anną Dymną o tym, co najważniejsze

KATARZYNA JANOWSKA: – Patrzy pani w lustro i kogo widzi: aktorkę, społecznicę, dojrzałą kobietę?

ANNA DYMNA: – Rzadko patrzę w lustro. Zdarza mi się to w teatrze przed spektaklem i wtedy wyraźniej widzę ślady życia na mojej twarzy, ale staram się Dymnej nie analizować. Maluję się i szybko wchodzę w postać, którą gram. Kiedy przed laty do mojej mamy ktoś mówił: o, jaka ładna ta Małgosia (w domu Anna była Małgosią), mama czerwieniła się i kwitowała to uśmiechem i słowami: „to miłe i dobre dziecko, i zwyczajne”. Tak więc od dziecka wiedziałam, że zewnętrzność nie jest najważniejsza, choć oczywiście potem w aktorstwie bardzo mi pomagała. Na początku w filmach nie musiałam nic wielkiego grać, wystarczyło, że byłam na ekranie, ładnie się uśmiechnęłam, zapłakałam i już. Aktorką bywałam na scenie.

Ciekawe role zaczęła pani grać, kiedy ze ślicznej filigranowej dziewczyny zmieniła się w dojrzałą kobietę. Wielkie kreacje stworzyła pani m.in. w Teatrze Telewizji, gdzie zagrała pani Kławię w „Czarodziejskiej górze” i Bertę w „Emigrantach” Joyce’a. Słynna jest już anegdota, jak Kazimierz Kutz na planie „Opowieści Hollywoodu” wołał: Stara, gruba baba na scenę! A pani dopiero po chwili zorientowała się, że to o nią chodzi. W pani przypadku fizyczna zmiana zadziałała na plus.

Z Kaziem Kutzem nigdy wcześniej nie pracowałam, choć przyjaźnił się z Dymnym, ale nie byłam w jego typie. Jak utyliam, to powiedział, że wreszcie widać, że jestem babą. Brutalnie, ale celnie uświadomił mi, jak wyglądam i co z tym mogę zrobić. Nie da się jednak ukryć, że dla aktorki czas jest szczególnie okrutny. Pierwszy Rubikon do przekroczenia pojawia się w okolicach trzydziestki. Wiele dziewczyn już wtedy wypada z zawodu, bo świeżość się ulatnia i okazuje się czasami, że poza nią aktorka nie miała nic więcej do zaproponowania. Z każdą dekadą trudniej jest kobiecie utrzymać się w zawodzie.

Ale pani się udaje. Ostatnio w „Orestie” u Jana Kláty w Starym Teatrze zagrała pani Klitajmestrę. Jest w tym spektaklu niezwykła scena, w której matka okazuje miłość synowi. Klitajmestra tuli Orestesa, wiedząc, że za chwilę ją zabije,



© WIODUCHECI DRAISECZ

by pomścić śmierć ojca. Udaje im się na chwilę powrócić do czasu niewinności. Skąd pomysł na taką scenę?

Aktor, który gra mojego syna, zapytał mnie, w jaki sposób najczęściej okazywałam czułość swojemu dziecku. Kiedy mój syn był mały, kładliśmy się koło siebie i delikatnie drapałam go po plecach. Kiedyś tak robiła moja mama i to są najpiękniejsze i najważniejsze momenty w moim życiu, które dają mi siłę już kilkadziesiąt lat. Stąd wzięła się ta scena. Matka, syn i córka tulą się do siebie. Los na chwilę został wzięty w nawias. Ta chwila im się należy.

Na ród Atrydów została rzucona klątwa, przed którą nie ma ucieczki. Długo zastanawialiśmy się wszyscy z Jankiem Klątą, czy takie klątwy dzisiaj też nas dotyczą. Przyszły mi z pomocą doświadczenia z programu „Spotkajmy się”, w którym rozmawiam

z osobami chorymi i niepełnosprawnymi. Właśnie gdy zaczęły się próby, przygotowywałam do programu rozmowę z Mirkiem Zochowskim, który jest chory od urodzenia na zespół Tourette’a. Dotknięci tą chorobą ludzie robią rzeczy, których wcale nie chcą: klną, krzyczą, wykonują dziwne ruchy. Zachowują się tak, jakby ich ktoś spętał klątwą, uwięził we własnym ciele, z którego nie ma ucieczki. Mimo to Mirek szuka sensu życia, próbuje przekroczyć sam siebie. Zrozumiałam, że Klitajmestra też jest uwięziona we własnym losie. Kocha swojego męża, ale musi go zabić. Próbuje przynajmniej uratować syna. Chce go wyrwać z koła przeznaczenia i dlatego każe mu odejść z domu, przeczuwając jednocześnie, że on ją za to zniekawidzi. Dla matki odrzucić własne dziecko jest niewyobrażalnie trudne, właściwie niemożliwe. Szu-

Anna Dymna, aktorka Starego Teatru w Krakowie. Jest absolwentką Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Na scenie zadebiutowała w 1969 r. w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w inscenizacji „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego. Ma na swoim koncie mnóstwo ról teatralnych i filmowych. Zagrała m.in. w filmach: „Janosik”, „Nie ma mocnych”, „Kochaj albo rzuć”, „Trędowata”, „Pasja”, „Do krwi ostatniej”, „Wesela nie będzie”, „Znachor”, „Dolina Issy”, „Tylko strach”, „Dama Kameliowa”, „Śmierć jak kromka chleba”, „Pestka”. W Starym Teatrze pracowała z Andrzejem Wajdą, Jerzym Jarockim, Konradem Swinarskim. Jej pierwszym mężem był Wiesław Dymny, pisarz, reżyser, kultowa postać Piwnicy pod Baranami. Od kilku lat zajmuje się działalnością charytatywną. W telewizji prowadzi rozmowy z niepełnosprawnymi. Założyła fundację Mimo Wszystko, której celem jest pomoc osobom chorym i niepełnosprawnym.

kałam w sobie emocji, które pozwoliłyby mi to zagrać. Wtedy przypominałam sobie fragment wiersza księdza Twardowskiego: „zapomnij że jesteś, kiedy mówisz, że kochasz”. Klitajmestra z miłości do syna przekreśla siebie.

Czy reżyserzy młodego pokolenia wymagają od aktora sięgania w głąb siebie, obnażania, ekshibicjonizmu?

Przez kilka lat słyszałam, że młodzi reżyserzy nie chcą ze mną pracować. I co mogłam na to poradzić? Nie chcą, to trudno. Kiedy Janek Klata zaproponował mi rolę, pomyślałam, że jeśli wyczuję w tym jakąś hucpę, oszustwo, próbę manipulacji, to przecież mogę oddać rolę. Ale zobaczyłam ludzi świetnie przygotowanych, pasjonatów pełnych energii, zapału, radości.

Klata wie, czego chce. Jest odważny, nie boi się zaryzykować, że nie każdy widz zro-

zumie przebieg jego narracji. Chce być maksymalnie wierny swojej wizji. Były momenty, w których moi młodszy koledzy się śmiali, a ja nie wiedziałam z czego. Na przykład Orestes biegnie po scenie z komiksem „Punisher”, a ja nie znałam tego bohatera. Nie lubię komiksów. Ograniczają moją wyobraźnię. Ale wiadomo, że jest to kod czytelny dla wielu młodych ludzi, pomaga im zrozumieć świat, wypełnia brak autorytetów. I dobrze. Dzięki roli Klitajmestry i mój świat bardzo się poszerzył.

Chwali pani pracę z Janem Klata. Na ogół jednak czuje się napięcie między dojrzałymi twórcami teatru a młodszymi. Coś się zacięło w międzypokoleniowej sztafecie.

Nie da się ukryć, że na naszych oczach toczy się ostra wojna między tzw. młodym i starym teatrem. Wojna, która nikomu nie służy. Teatr jest tak rozległą przestrzenią, że mieszczą się w niej różne style i wizje. My możemy przecież dzielić się z młodymi swoim doświadczeniem, umiejętnościami, ale najpierw musimy się otworzyć na ich język, sposób opisu rzeczywistości. Nikt nie musi nikogo ani opluwać, ani niszczyć, ani wyśmiewać. Świat się zmienia, a teatr wraz z nim. Nie da się tego zatrzymać, choćbyśmy nie wiem, jak chcieli. Czasem mam wrażenie, że niektórzy koledzy nie chcą tego przyjąć do wiadomości.

Kiedy patrzy pani na młode ładne aktorki, pojawia się ukłucie zazdrości?

Byłam wychowana w kulcie starych ludzi. Uważałam, że moja babcia z pooraną zmarszczkami twarzą jest najpiękniejsza na świecie. Kiedy byłam młodzieńką, przyjaźniłam się ze starymi aktorami: z Zosią Jaroszewską, Władysławem Hańczą, Zosią Niwińską. Od nich bardzo wiele się nauczyłam. Zosia Jaroszeńska była pozbawiona wszelkiej zazdrości, uczyła w szkole teatralnej, przekazywała młodym całą swoją wiedzę i umiejętności. Patrząc na nią marzyłam, żeby w przyszłości choć trochę być do niej podobną. Pewnego dnia mi powiedziała: „Aniu, czy teraz liczysz się, że zagrałam jedną rolę więcej niż moje koleżanki? Pamiętaj, musisz urodzić dziecko, mieć swoje życie, nie możesz wszystkiego poświęcić aktorstwu, bo w każdej chwili możesz zostać z niczym”. Ale miałam też starsze koleżanki, które mi nie mogły wybaczyć młodości. I w jakimś sensie je rozumiem. Bardzo trudno jest się starzeć publicznie. W naszym zawodzie to jest podwójnie trudne. Gdy się starzejemy, umierają role, których już nie możemy zagrać. Aktorzy funkcjonują w równoległych czasach. Kiedy idę ulicą i słyszę: o rany, co się z panią porobiło, jaka pani gruba!, to wiem, że powtarzają „Znachora” czy „Janosika”, w których grałam przed laty. Nie jest łatwo z tym żyć. Dlatego m.in. od kilkunastu lat uczę w PWST. Chcę być blisko młodych, chcę czuć ich energię. Cieszę się z sukcesów moich studentek. Są jak moje dzieci i jest w nich przecież jakaś mała moja iskierka. Kiedy słucham wypowiedzi pięknej i mądrej Mai Ostaszewskiej, kiedy widzę, jaką ►

Razem poprawmy świat...



...choćby o 1 %

1% podatku dochodowego możesz

przekazać na cele statutowe

Fundacji tvn „nie jesteś sam”

Twoje pieniądze pomogą w leczeniu i rehabilitacji ciężko chorych dzieci.

Szczegóły: www.fundacja.tvn.pl

FUNDACJA

BRE BANK Oddz./W-wa numer:

251 140 1010 0000 2581 1800 1001

► karierę robi śliczna Ania Cieślak, to serce mi się raduje. Teraz w nich widzę moją młodość.

Złośliwi z przekąsem mówią, że pani działalność charytatywna to sposób na istnienie publiczne, że gra pani rolę Matki Boskiej? Zdarza się pani słyszeć takie przytyki?

Owszem, Anna Dymna charytatywna, anioł. Słyszę nieprzychylnie komentarze, że pcham się do kamery, że robię to wszystko pod publiczność, ale na szczęście wiem, gdzie jest prawda. Na swoją twarz zapracowałam jako aktorka, a nie poprzez działalność charytatywną. Mogłabym występować w reklamach i wygodnie żyć, ale mam świadomość, że pracowałam ze Swinarskim, Wajdą, Jarockim i może byłoby im przykro, gdybym w ten sposób wykorzystała zaufanie, jakim

bię. Co gorsza, nie tylko zwykli ludzie nas podejrzewają o złe zamiary. Państwo, które bądź co bądź wyręczamy w jego obowiązkach, też często patrzy na nas nieufnie. Czasem się zastanawiam, co się z nami stało, że dobro jest dziś najbardziej podejrzaną wartością?

Może dzięki takim historiom jak ta z Januszem Świtajem ludzie oswoją się ze świadomością, że warto robić coś dla innych. Dzięki pani fundacji sparaliżowany Świtaj dostanie specjalny wózek inwalidzki, na którym po raz pierwszy od wielu lat wyjedzie z domu. Człowiek, który jeszcze parę tygodni temu prosił o prawo do śmierci, teraz chce pomagać innym.

Kiedy Janusz upublicznił swoją prośbę, byłam w fazie prób do Oresteii. Żyłam tyl-

Podpisałam umowę, zrobiliśmy mu szkolenie BHP. Będzie odszukiwał ludzi, którzy są w podobnej do jego sytuacji. Oczywiście najtrudniej jest dotrzeć do chorych, którzy są odcięci od świata. Robiłam kiedyś program o dziewczynie chorej na bardzo poważne neurologiczne schorzenie. Całymi dniami siedzi sama w domu. A przecież mógłby ktoś z sąsiadów ją odwiedzić, mogłaby z dziećmi odrabiać lekcję, robić cokolwiek, co dałoby jej poczucie, że jest potrzebna. Ale w gminie i w parafii nikt się jej losem nie interesuje. Janusz będzie się z takimi ludźmi kontaktował i będzie próbował obudzić w nich nadzieję. Jestem przekonana, że zrobi wiele dobrego, bo ma sto pomysłów na minutę. Jest taką gadułą, że podczas pierwszego spotkania od razu musiałam go wziąć na dywanik, bo inaczej nie



© WOJCIECH DRUSZCZ

Mam 55 lat, dla aktorki w tym wieku ról jest coraz mniej, dlatego nie ukrywam, że chciałam znaleźć sobie jakieś inne pole do działania. **Teraz pracuję na swoje zwyczajne człowieczeństwo.**

mnie kiedyś obdarzyli. Mam 55 lat, dla aktorki w tym wieku ról jest coraz mniej, dlatego nie ukrywam, że chciałam znaleźć sobie jakieś inne pole do działania. Poza tym my aktorzy naprawdę mało o sobie wiemy. Kiedy byłam młodą kobietą, nigdy nie wiedziałam, czy mężczyzna zabiega o moje względy dlatego, że widział mnie w roli np. Barbary Radziwiłłówny, czy dlatego, że jestem fascynującą osobą. Postanowiłam więc się sprawdzić działając wśród ludzi, którzy często nawet nie wiedzą, że jestem aktorką. Teraz pracuję na swoje zwyczajne człowieczeństwo. Kiedy ktoś mnie zapyta, dlaczego to robię, to odpowiem: robię to dla siebie, bo chcę się lepiej poczuć. Moja fundacja nazywa się Mimo Wszystko. Pomyśl na nazwę zaczerpnęłam z napisu, który znajduje się na szpitalu Matki Teresy z Kalkuty. Robię więc swoje mimo wszystko. Dostałam kiedyś od ks. Twardowskiego dedykację: „Uśmiechu, mimo wszystko”.

Na scenie wszystkie światła są skierowane na panią. Jak to wygląda, gdy wchodzi pani w rolę osoby rozmawiającej z niepełnosprawnymi. Trzeba wtedy o sobie zapomnieć?

Tak. To trudna rola i gdy się ją podejmie, nie można się wycofać. Ludzie dzielą się ze mną swoimi najintymniejszymi przeżyciami. Czuję się odpowiedzialna za tych, którym pomagam. Nie mogę pewnego dnia powiedzieć: znudziło mi się. A w naszej rzeczywistości, gdy chce się zrobić coś dobrego, człowiek natychmiast staje się podejrzany. Kiedy walczyłam o tereny opuszczone przez wojsko w Lubiatowie nad morzem, gdzie stanie ośrodek wypoczynkowy dla osób niepełnosprawnych, od razu padało pytanie: co pani z tego będzie miała? A ja nie biorę grosza za pracę w fundacji. Za pieniądze nie mogłabym robić tego, co ro-

ko teatrem. Jakiś dziennikarz zadzwonił do mnie i poprosił o komentarz do prośby o eutanazję sparaliżowanego od lat człowieka. Powiedziałam, że jego głos brzmi dla mnie jak krzyk o życie i pomoc. Że znam ludzi w takiej sytuacji i właśnie oni mnie ucza, że warto i trzeba walczyć o każdą chwilę życia. Następnego dnia uświadomiłam sobie, że od dwóch lat znam Janusza Świtaję. Zwrócił się kiedyś o pomoc do mojej fundacji i zorganizowaliśmy mu materac przeciwno odleżynom i specjalny ssak ułatwiający oddychanie. Dostawałam od niego często radosne esemesy na święta, na Dzień Kobiet, na walentynki. Złapałam telefon, dzwonił do niego i mówię: Janusz, kurde, co ty wyprawiasz. Opamiętaj się. Przecież to ty jesteś największym przeciwnikiem eutanazji, to ty od 14 lat walczysz o każdy oddech i teraz próbujesz mi wmówić, że chcesz umrzeć?! Rozumiem, że czujesz się upokorzony przez los. Dlatego koniec z lenistwem, koniec z beznadzieją. Jesteś potrzebny. Będziesz u nas pracował na pół etatu. Zatrudnię cię na okres próbny, bo jak będziesz złym pracownikiem, to cię wywalę.

Rozmawiałam z wieloma osobami upośledzonymi, ciężko chorymi i nigdy nie usłyszałam, że ktoś chce umrzeć. Największym dramatem dla nich jest samotność. Janusz Świtaj jest w tej dobrej sytuacji, że ma wspaniałych rodziców, którzy się nim zajmują. Wie, że poświęcają mu całe życie, ale są coraz starsi. Janusz prosił o prawo do śmierci ze strachu, że kiedyś trafi do szpitala dla przewlekłych chorych, do sali „z zamalowanymi oknami”. Chorzy tam umieszczeni żyją krótko. Mają fachową opiekę, ale brak im ciepła, poczucia, że są komuś potrzebni.

Podpisała pani ze Świtajem umowę o pracę.

dopuszczyłby mnie do głosu. Natychmiast zaczął kombinować, gdzie będzie doładowywał baterię do wózka, która wyczerpuje się po 12 godzinach. Pytam się: Gdzie ty człowieku będziesz całymi dniami jeździł? – No jak to gdzie, będę docierał do ludzi. Kiedy ostatnio byłam u niego, okazało się, że jednego dnia dostał 1400 e-maili. Lawina ruszyła.

Działalność charytatywna, salony poezji, udany dom – to wszystko pani ma. Do tego aktorstwo, które daje możliwość przeżywania różnych biografii. Te wszystkie aktywności to oręż w potyczce ze światem?

Ale też świadomego przeżycia własnego życia. Najważniejszą rzeczą w aktorstwie jest zrozumienie drugiego człowieka. Aktorstwo uczy tolerancji. Muszę być otwartą, nie mogę potępiać swoich bohaterów, bo nie mogłabym ich zagrać. Taka postawa pomogła mi w prawdziwym życiu. Dzięki aktorstwu łatwiej otwieram się na ludzi, mam odwagę spotkać się z nimi, zrozumieć ich cierpienie. Tak więc wszystko mi się w życiu dopełnia. A że mija czas? Przecież dlatego życie ma sens. Swoją pięćdziesiątkę obchodziłam nad morzem w towarzystwie Ani Seniuk. Kupiłam szampana, rozłożyłyśmy się na plaży jak foki i byłam cała szczęśliwa. Ania się mnie pyta: Z czego ty się głupia tak cieszysz? A ja na to: Bo mam wreszcie święty spokój. Mam 50 lat i nie muszę się tłumaczyć, dlatego jestem gruba i mam zmarszczki. Mogę się poświęcić temu, co w życiu ważne. U Eklezjasty jest takie zdanie: „Kaźda rzecz ma swój czas. I każde przedsięwzięcie ma swój czas pod niebem...”. Każda chwila ma swoją niepowtarzalną wartość właśnie dlatego, że przemija.

ROZMAWIAŁA KATARZYNA JANOWSKA